

Demokracja i liberalizm: związek nieoczywisty



DAMIAN MAZIARZ

Doktorant Katedry Etyki Szczegółowej na Wydziale Filozofii KUL

Już u swych źródeł demokracja i liberalizm były wobec siebie antagonyzmiczne. Rousseau z Constantem bruderszafta by nie łyknał

Ich losy splotły się w na poły romantycznym uniesieniu, gdy trzy wieki temu utworzyli niesakramentalny związek partnerski. Gdzieniegdzie tylko tę idylliczną wizję przerywał szmer powątpiewania. Po trzydziestu latach do opinii publicznej zaczęły przedostawać się głosy o rozstaniu. Ona bowiem ostatnimi czasy regularnie daje do zrozumienia, że nosi się z zamiarem wzięcia rozłąki, ponieważ on ignoruje jej decyzje. Swą nieoczekiwaną postawą wywołała niedowierzanie entuzjastów tego związku. Z kolei ci, którzy od lat powtarzali, że niekoniecznie do siebie pasują, wierzą, iż nie zabraknie jej determinacji, by od niego odejść. On jeszcze liczy, że zdoła ją przy sobie utrzymać. Ona coraz śmielej natomiast przebąkuje, że zamierza pójść własną drogą.

Jego imię – liberalizm, jej – demokracja.

Jedyny możliwy paradygmat?

Demokracja często uznawana jest za pannę niekoniecznie ciekawego autora-mentu, niestroniącą od kapryśności. In-

czej niż liberalizm – postrzegany jako dystyngowany jegomość, odznaczający się stałością i powściągliwością, nieskory do afektów. Zawsze w gotowości, by przybyć z odsieczą demokracji, gdy ta błądzi po manowcach. Bez liberalizmu – można odnieść wrażenie – demokracja gotowa będzie jeszcze związać się z jakimś absolutnie nieodpowiedzialnym partnerem albo, co gorsza, w rezultacie swych nieroztropnych wyborów dokonać żywota, zakładając sobie pętlę na szyję. Spójrzmy jednak na demokrację jako niewiastę przygotowaną do emancypacji – władną zarazem wieść niekoniecznie monogamiczną i patriarchalną egzystencję. Inaczej niż Richard Rorty et consortes, którzy z dezynwolturą głoszą wszem i wobec, że demokracja liberalna a priori domaga się uznania i nie ma co bając, że jakiegokolwiek inne związki mają rację bytu. Stańmy tym samym z otwartą przyłbicą i dokonajmy próby obalenia twierdzenia o nierozłączności demokracji i liberalizmu.

Określenie „demokracja liberalna” nie jest już dawno kategorią opisową, lecz – przepojoną nad wyraz dużym ła-

dunkiem emocjonalnym – wartościującą (analogicznie ma się rzecz z innymi terminami z zakresu politologii tudzież filozofii polityki, m.in. „dyktatura”, „autorytaryzm”, etc.). Na płaszczyźnie semantycznej służy do dyskredytowania interlokutorów i oponentów skłaniających się do hołubienia innych idei i form organizacji życia społeczno-politycznego. Zwrot „demokracja liberalna” opanował sferę semantyczną, stając się jednym z arsenałów w repertuarze „władzy dyskursywnej” (czyj język, tego władza). Obrońcy demokracji liberalnej sytuują ją jako paradygmat, w obrębie którego można kruszyć kopie o kształt poszczególnych wycinków rzeczywistości. Alternatywne paradygmaty są ujmowane jako niedopuszczalne.

Rousseau z Constantem bruderszafta by nie łyknął

Tymczasem oba nurty – demokratyzm i liberalizm – już u swych źródeł były wobec siebie antagonistyczne. Protoplasta „nowoczesnego” demokratyzmu (pojętego jako powszechna emanacja woli ludu), Jean-Jacques Rousseau, nie stronił od wymierzania ostrza krytyki w liberalny parlamentaryzm, oznajmiając, że nie sposób rozprawiać o demokracji, gdy ceduje się władzę na kilkudziesięciu osobników zasiadających w parlamencie. Prekursorzy liberalizmu (m.in. Thomas Hobbes, John Locke, Benjamin Constant) nie pozostawali dłużni, żywiąc szereg obiekcji względem demokracji: uwypuklali między innymi, iż działania obywateli na płaszczyźnie politycznej mogą być motywowane niskimi, zakorzenionymi w resentymencie pobudkami i dodając, że „warstwy nieoświecone” nie są władne należycie pokierować kwestiami polityczno-społecznymi (rozziew między pierwotnie libe-

ralnym elitaryzmem a demokratycznym egalitaryzmem); nadto zaś wątpliwości nastroczała im perspektywa, czy można pogodzić maksymalizację wolności (niektórzy z liberałów byli wszak utylitarystami) indywidualnej i zbiorowej z demokracją? Liberałowie przyznawali prymat uprawnieniom zabezpieczającym prywatną sferę jednostki, demokracji zaś – możliwość wpływania na formę politycznej wspólnoty (element „negatywny” – liberalizm, element „pozytywny” – demokracja).

Myślenie demokratów i liberałów w sprawie partycypacji obywateli w kwestiach państwowych było całkowicie odmienne

Myślenie demokratów i liberałów w sprawie partycypacji obywateli w kwestiach państwowych było całkowicie odmienne. Liberałowie postrzegali parlamentaryzm nie jako organizm polityczny, a bardziej jako miejsce, gdzie dokonuje się rozporządzenie wspólnym (podatki) majątkiem obywateli. Wiodło to liberałów do przekonania, że absolutnie nie każdemu przysługuje (w ogóle i równe) prawo do biernego i czynnego uczestnictwa w wyborach. Sytuowało to liberałów na antypodach myślenia demokratycznego. Nie było więc mowy o tym, by wybory stały się manifestacją roussofskiej „woli powszechnej”, lecz – jak rozprawiał John Stuart Mill – miały stanowić wyraz „realnego interesu społecznego”. Dlatego też – perorował Mill – głosować mogli tylko mężczyźni, nie zaś kobiety, albowiem in-

teres kobiet zawierał się w interesie ich mężów, następowałyby więc swoista multiplikacja interesów. Z tym że i nie każdy mężczyzna w oczach liberałów predysponowany był ku temu, by udźwignąć brzemień odpowiedzialności wyborczej, stąd też orędownali oni za tym, by obdzielić tą łaskawością tylko ludzi posiadających odpowiednio grubą sakiewkę. Państwo zyskuje w tej perspektywie bardziej kształt spółki akcyjnej, w której ten, kto nabył odpowiednio dużo „udziałów”, ma większe uprawnienia, by decydować o tym, w jakim kierunku „firma” ma się rozwijać. U źródeł liberalnego myślenia tkwił również pierwiastek oligarchiczny, zgoła obcy postawie demokratycznej.

Zadumali się więc liberałowie: cóż począć, skoro widzimy, że demokracja nie jest w pełni zharmonizowana liberalizmem? Demokraci spoglądają na nas spode łba, a trzeba przecież jakoś okiełznać ten pęd ludu do samostanowienia. Jeśli pozwolimy na demokrację par excellence, lud może odesłać nasz liberalizm na śmietnik historii. I tak oto w XIX i XX wieku w sukurs przyszła im koncepcja pozytywizmu prawniczego, mająca korygować „ekscesy” demokracji, kiedy wybory powszechne sprawiają, że laur zwycięstwa przypada w udziale ugrupowaniu kontestującemu liberalne uniwersum. Pamiętać bowiem należy o ważnej dystynkcji – wygrana wyborcza nie jest tożsama z przejęciem władzy. Triumf przy urnie wyborczej może dać dopiero sposobność do zdobycia władzy rozproszonej w wielu obszarach państwowego organizmu. W demokracji liberalnej na siłę kwestionującej liberalne status quo czekają więzadła formalno-prawne, będące pokłosiem pozytywizmu prawniczego (tego rodzaju idea przyświecała m.in. Hansowi Kelsenowi przy rozważaniach o Trybunale Konstytu-

tucyjnym jako instancji władnej neutralizować działania żywiołów niepożądanych, czyli „nieoliberalnych”). Pozytywizm prawniczy, zakorzeniony w demokracji liberalnej, pragnie pozycjonować się jako perspektywa bezalternatywna, deprecjonując pozostałe ujęcia prawne (jusnaturalizm). Gdy w łonie demokracji liberalnej dochodzi do sporu pomiędzy egzekutywą i/lub legislatywą a judykaturą, niekiedy (podkreślam – niekiedy – innym razem idzie zwyczajnie o poszerzenie zakresu władztwa) rzecz nie rozbija się o to, czy honorowany jest ten czy inny zapis konstytucji, ale o to, czym konstytucja jest, czyli o to, którą filozofię prawa się aprobuje. Każdy, kto bierze udział w tej debacie prawnej, opowiada się za konkretną filozofią prawa, nawet jeśli czyni to w sposób nieuświadomiony. Proces ten, określanym mianem jurydyzacji polityki, pozwala częstokroć pacyfikować demokratyczne żywioły przez liberalne imaginarium.

Pierwsi pośród równych, ostatni pośród równych

Crema de la crema demokracji liberalnej – zarazem jej domniemana wyższość względem innych konfiguracji demokracji tudzież pozostałych prądów ideowych w ogóle – manifestować ma się w tym, że w łonie demokracji liberalnej dokonuje się afirmacja pluralizmu i równowartości opinii. Empiria jednak dowodzi, iż owa afirmacja nierzadko nie wychodzi poza deklaratywność. Demokracja liberalna (a zatem dookreślona) zawiera w sobie wyraźny komponent aksjologiczny, czego naturalną konsekwencją pozostaje fakt, że w ramach owego systemu uznania dostąpić nie mogą przekonania o konotacjach innych niż liberalne. Delimitacja poglądów „uprawnionych” odbywa się wokół liberalnego

spektrum. Jeśli przyjąć za naturalne, że w obrębie demokracji liberalnej funkcjonują jednostki i grupy, których zapatrywania nie pozostają kompatybilne z liberalną optyką, to wiedzie do konkluzji, iż ich przekonania nie są *de facto* równoprawne z poglądami osób o liberalnych poglądach. Przeświadczenie o możliwości równowartości opinii w przypadku, kiedy już w nazwie systemu (demokracja liberalna) gloryfikuje się: a) demokrację, b) liberalizm, czyli *ex cathedra* obwieszcza się, jakie komponenty funkcjonują w sposób nieomal aksjomatyczny, jawi się jako fantazmat. Pole równoprawności opinii nie obejmuje przekonań niedemokratycznych i nieliberalnych. Demokracja liberalna *explicite* zakłada, że pierwiastki wobec niej antonimiczne (nie-demokracja i nie-liberalizm) w jej obrębie zostaną poddane procesowi marginalizacji. Pluralizm i równowartość opinii dokonać się może zatem wyłącznie w mozaice poglądów demokratycznych i liberalnych – i tych, rzecz jasna, jest wiele, lecz przez wzgląd na to, że odrzuca się (jeszcze większą) liczbę zapatrywań nieliberalnych, ów akcentowany przez liberalnych demokratów pluralizm zostaje silnie zredukowany.

Liberalizm przejawia silne tendencje dominacyjne, określając się nie jako jedna z wielu godnych aprobaty doktryn, lecz jako ta, która sytuuje się ponad resztą. Wielość w demoliberalizmie jest iluzoryczna, kreuje on bowiem dychotomię: liberalne (godne uznania) – nieliberalne (godne napiętnowania). Nie on ma się przegłądać w innych doktrynach, lecz inne doktryny w nim. Słynna maksyma: „Nie zgadzam się z tobą, ale będę czynił wszystko, byś mógł głosić swoje przekonania”, która jakoby leży u podstaw demokracji liberalnej, nie zazębia się z praktyką. Powinna ona na kanwie demokracji

liberalnej doczekać się nowego wcielenia, mianowicie: „Będę czynił wszystko, byś mógł swobodnie głosić swoje przekonania, o ile sytuują się one w liberalnym uniwersum”.

Liberalizm przejawia silne tendencje dominacyjne, określając się nie jako jedna z wielu godnych aprobaty doktryn, lecz jako ta, która sytuuje się ponad resztą

Liberalizm nierzadko posługuje się jedynie demokratycznym sztafażem, przyznając słusność tylko tym werdyktom ludu, które nie wypowiedają posłuszeństwa liberalizmowi. Ten problem próbował np. rozwiązać John Rawls, propagując ideę „rozumnego pluralizmu”. Jednak Rawls posługuje się kategorią „rozumnych doktryn rozległych”, lecz nie dość, że owe „doktryny rozumne” definiowane są z pozycji liberalnych, przechodzą przez liberalne kryteria doboru, to jeszcze samo sformułowanie jawi się jako wielce mgliste i pretensjonalne, oznacza bowiem, że liberalizm uzurpuje sobie prawo do kwalifikowania „rozumności”. Liberalizm wygodnie rozsiadł się na tronie ideowego hegemonia i z pozycji oświeconego władcy absolutnego łaskawie wyrokuje, komu przyzna imprimatur. A o tym, że kategoria rozumności w liberalnej perspektywie szafuje się dość swobodnie, niechaj zaświadczy fakt, iż zaszczytu znalezienia się w poczcie „rozumnych doktryn rozległych” nie znalazły choćby koncepcje zanurzone w prawie naturalnym i stroniące od po-

zytywizmu prawniczego. Ot, i niemały dorobek intelektualny (choćby neotomizm czy decyzyzizm), trafi na półeczkę z sygnaturą: „nierozumne doktryny rozległe”.

Prawda? Nie wiem, nie znam się

Pozwólmy sobie wbrew śmiałym deklaracjom, że „demokracja (liberalna) jest przed filozofią” (Rorty ponownie się kłania), uznać, że filozofia, ta onegdaj dumna i niezłomna panna, nie ugnie karku przed dyktatem liberalizmu. Gdzie więc – mimo protokołu rozbieżności – spotykają się drogi demokracji i liberalizmu? Gdzie mogą sobie śmiało podać ręce? Łączy ich niechęć do prawdy.

U podstaw demokratyczno-liberalnej tezy o równoprawności opinii i pluralizmie zawartych w liberalnej demokracji leży przekonanie o epistemologicznym i moralnym relatywizmie (jeden z orędowników zespolenia demokracji z liberalizmem Hans Kelsen – autodemaskacyjnie poniekąd – oznajmił przecież *expressis verbis*, że relatywizm jest nieodzowną częścią demokracji liberalnej). Odkąd nowożytna filozofia proklamowała schizmę bytu (oddzieliwszy poznanie od bytu), uprawomocniła tym samym perspektywę relatywistyczną. Jeśli do prawdy nie można dojść – lub też jej nie ma – każdy sąd o każdej rzeczy winien być traktowany jako dopuszczalny. Mniemanie straciło z piedestału prawdę. W demokracji nie idzie o prawdę – wyżej usytuowana pozostaje wola, preferencje, interesy, mniemanie. Liberalizm charakteryzuje zaś absolutny immanentyzm (samowystarczalność jednostki w wymiarze doczesnym) – na tej płaszczyźnie świetnie więc ze sobą współgrają (gwoździ ścisłości zaznaczymy, że błędne jest przeświadczenie, iż różnorodność mniemań jest dowodem

na to, że istnieje wiele prawd, ponieważ dowodzi to jedynie tego, że występuje wielość światopoglądów, nie zaś prawd).

Argumentacja na rzecz demokracji liberalnej na gruncie relatywizmu powoduje kolejną trudność. Aprobując bowiem konkluzję o relatywizmie epistemologicznym i moralnym, a jednocześnie zaś sytuując jako „absolut” demokrację liberalną, demokratyczni liberałowie popadają w sprzeczność. Skoro wszystko jest relatywne, za takowe należy uznać również i wartości, które w obrębie demokracji liberalnej podnoszone są do rangi pierwszej zasady, czyli demokrację i liberalizm (jako aksjologię). W myśl relatywistycznej optyki nie powinno się ich absolutyzować i oczekiwać – często zaś wręcz narzucać (instytucjonalnie i prawnie) – że winny one zostać powszechnie zaaprobowane. Relatywizm poznawczy, którego nieodłącznym elementem pozostaje teza o względności wartościowania, napotyka na zarzut, że i przekonanie o prymacie liberalnej demokracji – ufundowane wszak na względnym, nieprowadzącym do wiążących konkluzji aparacie poznawczym – skażone jest błędem. Relatywizm poznawczy daje asumpt, by – z pozycji relatywistycznych właśnie – demokrację liberalną kontestować. Każdy wyartykułowany sąd *ex definitione* jest względny, wobec tego oznacza to, że również pozytywnie wartościujące sądy o demokracji mierzyć się mogą z relatywistyczną negacją.

Dzisiejsza myśl filozoficzna, tak bliska liberalizmowi, koncentruje się na podmiocie, jaźni i treściach świadomości. Filozofia porzuciła ambicje całościowego i mądrościowego rozpoznania rzeczywistości, podkreślając nade wszystko wymiar epistemologiczny (nasycony dziś również pierwiastkami psychologicznymi, socio-

logicznymi i kulturowymi). W filozofii obecnie dominuje przeświadczenie, że: a) rzeczywistość realnie istniejąca jest niepoznawalna (idealizm epistemologiczny) lub b) nie sposób mówić w ogóle o rzeczywistości istniejącej niezależnie od podmiotu (idealizm metafizyczny/ontologiczny). Liberalizm ochoczo na takie perspektywy przystaje.

**Filozofia porzuciła ambicje
całościowego
i mądrościowego
rozpoznania rzeczywistości,
podkreślając nade wszystko
wymiar epistemologiczny**

Spójrzmy jednakże, jakie implikacje na płaszczyźnie politycznej niesie zaaprobowanie tezy idealizmu epistemologicznego, leżącego u filozoficznych podstaw demokratycznego liberalizmu, którego reprezentanci przyznają naczelną rolę kategorii „idei” (nie zaś obiektywnie i pozapodmiotowo istniejącej rzeczywistości) jako władnej ogniskować ludzkie myślenie o tym, iż rzeczywistość jawi się jako struktura niepoznawalna. Na kanwie idealizmu epistemologicznego powinnością myśli ludzkiej – w tym filozoficznej i politycznej – nie jest komplementarność z rzeczywistością. Rzeczywistość bowiem albo pozostaje nieuchwytna, wszelkie więc próby uzyskania kompatybilności myśli z rzeczywistością skazane są na obrócenie w niwecz, albo też rzeczywistość pozapodmiotowa w ogóle nie istnieje, zatem zanika nawet nie tyle konieczność, co możliwość odnoszenia się doń. Stanowi to

doskonałą sposobność ku temu, by czynić z obywateli jednostki znacznie bardziej podatne na aplikowane im przez rządzących paradygmaty i konstrukty polityczno–społeczne. Jeśli bowiem rzeczywistości nie sposób odczytać, daje to możliwość po temu, by w jej miejsce wdrażać dowolnie wykoncypowane modele. Filozofia współczesna przybiera ambiwalentny charakter: z jednej strony, negując radykalnie perspektywę poznania rzeczywistości, wielce krytycznie spogląda na możliwości człowieka; z drugiej natomiast czyni z podmiotu demiurga, konstatuując, iż to ludzki umysł władny jest modyfikować realia podług własnych mniemań i – w ślad za Protagorasem – na powrót czynić z siebie miarę wszechrzeczy. Klasyczna teoria prawdy – jako zgodności rzeczywistości z myślą – odesłana została do lamusa. Przedmiotem poznania człowiek demokratyczno-liberalny czyni nie rzeczywistość (pozapodmiotową), lecz swoje o niej wyobrażenie. Operacje na ideach wyparły poznanie.

Czas decyzyzjonizmu

W związku demokracji z liberalizmem ten drugi osiągnął pozycję znacznie bardziej uprzywilejowaną. Liberalizm i demokracja nie lgnęły samoistnie ku sobie, lecz ich związek został – można rzec – zainscenizowany. Widać to, gdy co jakiś czas – regularnie – ta unia trzeszczy w posadach. Komunizm ta jednak z pewnością nie jest nieuchronnością, demokracja z powodzeniem może wchodzić w alianse z innymi prądami intelektualnymi. Choć może się wydawać, że to pierwiastek demokratyczny zatryumfował, bo nie mamy dziś do czynienia w ramach demoliberalizmu z cenzurami majątkowymi i kreowaniem kryteriów (poza wiekiem) uczest-

nictwa w wyborach, to jest to pyrrusowe zwycięstwo. Reguły gry wyznacza bowiem liberalizm. I tym oto sposobem pozwala się ludowi na demokratyczną szarżę, pod tym wszakże warunkiem że wybór dokonuje się w ramach liberalnego paradygmatu.

Dzisiejsze posunięcia na politycznej szachownicy wskazują, że gdzieś w przyszłości nastąpią scenaria: demokracja, która idzie pod rękę z konserwatywnym decyzyzmem. Jest to kształtująca się synteza nieliberalnej, zanurzonej w roussofskim modelu, demokracji okraszona elementem schmittańskiego decyzy-

zyzmu. Demokracja zmienia więc partnera – pakuje manatki Hansa Kelsena (personifikującego pozytywizm prawniczy) i wyrzuca go za próg, zapraszając do swego domostwa innego absztyfikanta – Carla Schmitta (uosabiającego decyzyzizm). Państwo w tym wymiarze przestanie być prawno-administracyjną maszyną, gdzie wyłaniani w demokratycznych wyborach politycy stają się pacynkami bezoosobowego prawa (dekretującego liberalne pryncypia), lecz to im przypadnie w udziale modelowanie politycznego porządku poprzez czerpanie z demokratycznego mandatu.